

Magiczny kamień Partycji Soliman

1. Czy Patrycja Soliman wchodząc po raz pierwszy na scenę miała w ręku magiczny kamień - nie wiadomo, niewątpliwie jednak świeciła jakimś wewnętrznym blaskiem, który nie pozwalał oderwać od niej oczu. Pewnie za sprawą tej intrygującej tajemnicy, pierwsze role przyszły do niej zanim jeszcze ukończyła warszawską akademię teatralną. Nie zawsze na miarę jej talentu, ale zawsze wносиła w nie choćby cząstkę swej niekonwencjonalnej osobowości. Czyli? Introwertyczka wyposażona w siłę która każe uznawać jej racje. Niepokorna, a przy tym bezgranicznie ufna wobec tych, którym udało się przebić jej skorupę. Ma w sobie czystość, nadwrażliwość, pewien rodzaj naiwności a jednocześnie niezawodny kompas, który pozwala jej bohaterkom poruszać się w niezrozumiałym świecie. Bo dla Patrycji Soliman świat jest czymś, co ją nieustannie zadziwia, co prowokuje do wciąż na nowo zadawanych pytań: zaakceptować czy odrzucić. Subtelność w odkrywaniu wnętrza swoich bohaterek (jeśli w ogóle jest skłonna by je odkryć) a jednocześnie wyrazistość środków. Taka jest jej Anieli w „Ślubach panińskich”, bohaterka komedii klasycznej, o której wydać by się mogło, wiemy już wszystko, a jednak to Patrycja pokazuje nam po raz pierwszy dziewczynę tylko z pozoru naiwną, otwartą na miłość ale wciąż zadającą pytanie czy to na pewno to?. Nieskłoną wkładać rękę w ogień, a co dopiero serce!. Rozedrganie wewnętrzne przy stabilności emocjonalnej. Wiem, czego chcę mówi Patrycja w imieniu swoich bohaterek i z tego nie ma zamiaru rezygnować. Bo aktor współczesny wnosi cechy swojej osobowości w rolę i Patrycja bardzo wcześnie zrozumiała, że na tym polega dojrzałe aktorstwo. Jej zdaniem istotą zawodu, który uprawia jest umiejętne połączenie tego, co ma się w sobie, wrażliwości, gotowości do odnajdywania potrzebnych do zbudowania roli stanów emocjonalnych z ciągłym doskonaleniem warsztatu. Wie, że ewoluuje jako aktorka, jako kobieta, jako człowiek. Dopiero niedawno zrozumiała, że najważniejsze w jej życiu jest macierzyństwo, maleńka istota o imieniu Franciszka.

2. Jeszcze jako studentka Akademii Teatralnej zagrała w „Kopciuchu” Janusza Głowackiego na deskach teatru Narodowego oraz rolę Soni w sztuce „I tyle miłości” w teatrze Ateneum u Andrzeja Domalika. W jej studenckich poczynaniach zawierała się obietnica wielkiego talentu jakim rozblęła w przedstawieniach dyplomowych, to też jury Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi (2006) nagrodiło Patrycję za rolę Maszy i Iriny w „Trzech siostrach”, Czechowa w reżyserii Agnieszki Glińskiej oraz za rolę Róży w „Bezimiennym dziele” Witkacego pod batutą pierwszego mistrza Patrycji, Jana Englerta. Uwielbia pracę z Agnieszką Glińską, która przy akceptacji aktora takim jakim jest potrafi wspólnie z nim lepić i kształtować go na nowo. Jan Englert zaś zdaniem Patrycji zapewnia całkowity komfort pracy, nawet gdy prowokuje do kontrolowanego ryzyka. Takim ryzykiem było zbudowanie roli Anieli na opozycji między pragnieniem rzucenia się w żywioł pierwszego uczucia a lękiem przed zawierzeniem temu co nieznanemu, co stanowi świat zmysłów i emocji.

Zupełnie innym wyzwaniem była rola Arycji w „Fedrze” Mai Kleczewskiej. znanej ze śmiałych pomysłów interpretacyjnych i drastycznych rozwiązań formalnych. Ale to właśnie za te dwie role w diametralnie różnej stylistyce otrzymała od Sekcji Krytyków Teatralnych ZASP nagrodę im. Nardellego za najlepszy debiut roku 2006/2007. Dziś stanęła przed kolejnym wyzwaniem zaproszona do teatru Dramatycznego przez Agnieszkę Glińską by zagrać rolę z pogranicza jawy i snu, tytułową Lulu w spektaklu, który Agnieszka Glińska oparła o scenariusz filmu Paula Austera, „Lulu na moście” Wystarczy posłuchać co mówiła jej ukochana reżyserka o fascynacji tym tematem, by zrozumieć, że Patrycja rzuciłaby się w tę przygodę głową w dół a gdy trzeba w najciemniejszą toń. Z mostu i z trampoliny.-

„Wiedziałam, że to jest to czego szukam, historia wielowarstwowa, niedopowiedziana,

nieoczywista. Materia z której tkamy Lulu jest bardzo delikatna, historia balansuje na granicy śmierci i snu, miłości i sztuki. A pytanie kiedy żyjemy naprawdę, na jawie czy we śnie to jest moje pytanie. Od niedawna żyję w przekonaniu, że to co mi się śni, co projektuję w marzeniach jest dla mnie sto razy ważniejsze niż to niby- realne życie.” Ta mistyka roli, rzecz o tajemnicy miłości, tajemnicy spełnienia za sprawą magnetycznego kamienia, który dla bohaterów zaświecił pełnym blaskiem w momencie ostatecznego rozstania, ten świat nierzeczywisty w który aktorka zatapia się najchętniej. Zdaniem Patrycji każdy z nas nosi w sobie ów magiczny kamień, ale nie każdy rozpoznaje jego moc. Trzeba tylko otworzyć się na magię, a może po prostu na drugiego człowieka?

3. Równie serio jak dokonania teatralne Patrycja traktuje role filmowe. Niezależnie od tego czy są to epizody, jak rola skrzypaczki Wisławy w filmie „Karol, człowiek który został Papieżem (dla której aktorka nauczyła się grać na skrzypcach, by samodzielnie wykonać swój utwór), czy rola Jasminum w filmie Jana Jakuba Kolskiego o tym samym tytule, te małe kreacje zapadają głęboko w pamięć. Natomiast rolę tytułowej bohaterki „Ogrodu Luizy” Macieja Wojtyszki w filmie nagrodzonym na festiwalu w Gdyni recenzenci nie wahają się nazwać arcydziełem. Może dlatego, że jak sama mówi udało jej się wyposażyć swoją bohaterkę w niezwykłą energię, trochę dziecka, trochę anioła. Ta nieprzystosowana do świata dziewczyna, obdarzona bezduszną etykietką schizofreniczki jest w istocie czystą nieskażoną złem idealistką, której cierpienie wiąże się z odrzuceniem. Jest to jednocześnie jeden z piękniejszych filmów o miłości. Oglądając przed laty spektakl Sary Kane „Psychosis” młodzieńca Patrycja przeżyła rodzaj wstrząsu. Pamięta, że wyszła wówczas z teatru z przeświadczeniem, że każdy z nas ma swoje demony, niepokoje, lęki. Być może także na tym odkryciu zbudowała postać Luizy.

Hannak Karolak